

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

28]

— Czy otwieranie wogóle nie szkodzi chorym leżącym przy oknach, a zwłaszcza w zimie?

— Wyzdrowienie jest w ręku Boga, a ci ludzie nie są przyzwyczajeni do takich ostrożności. Zresztą otwieramy tylko górne okienka.

— A wentylatorów niema? — spytała Irena.

— Takich zbyt mało oni nie znają i nie potrzebują i Panu Bogu niech dziękują, że przyjęliśmy ich tutaj, — następnie głosem spokojnym kazała posługaczowi oznajmić, że godzina odwiedzin minęła.

* * *

Od jakiegoś czasu zauważyła Czajkowska, że służąca Kasia, dotychczas zgodna i uступliwa, miewa zmienny humor. Raz łagodna i chętna, znów krnąbrna i kłótniwa, a w tonie jej odpowiedzi czuć było pretensję, żal i lekceważenie.

W innym czasie byłaby się postarała Czajkowska zmienić służącą, ale zbliżały się święta wielkanocne z nieodzownym porządkowaniem, sprzątaniami i przygotowaniami, a zmiana służącej wszystkoby utrudniła.

Przed nadchodzącym Wielkim tygodniem posłała Czajkowska do kuchni i wydając rozporządzenia co do różnych zakupów powiedziała:

— Niechże Kasia wcześniej wróci, bo trzeba dziś pranie zrobić.

Kasia siedząc na kufrze, spojrzała na swą panią z łaskawym, a na szerokich, mięsistych ustach zjawiał się złośliwy uśmiech i odpowiedziała szorstko:

— Ani myślę pracować w piątek. Jutro mam szorowanie kuchni. Zdrowie tu stracę.

— Moja Kasiu, nie mogłam zdążyć z naprawą bielizny na czwartek, i dziś musi być pranie.

— Z naprawą mogłaby pani zdążyć, gdyby panienka pomogła, ale panienka po całych dniach za domem, czego jak żyję nie widziałam.

— To do Kasi nie należy, — odparła Czajkowska zniecierpliwiona, — a nie chce Kasia dziś pracować, odłożymy na poniedziałek.

Kasia wstała z kufra i zawołała z gniewem:

— Czy to pani nie katoliczka, ażeby dawać pranie w Wielkim tygodniu? Ja nie myślę gubić duszy siedząc tutaj. Ani pani do kościoła, ani na Gorzkie Żale, ani na rekolekcje. To gorzej żyć!

— Niech się Kasia uspokoi, — upomniała ją surowo, — i nie miesza się w nieswoje rzeczy. To do Kasi nie należy, czy chodzę, czy nie chodzę do kościoła.

— Właśnie że zależy, — zacerwieniła się. — Godziłam się na służbę do katolików, a tu ani obrazu świętego, ani modlitwy. Czy był kto z państwa u spowiedzi świętej? Ani myślę dłużej służyć! to obraza boska! to wstyd!

Czajkowska pobladła z gniewu i wysilając się na spokój rzekła:

— Nie chce Kasia służyć, przymusu niema. Za dwa tygodnie może Kasia iść.

— O, nie! Na święta nie zostanę. Chora jestem, pojedę do domu, a pani niech sobie szuka sługi chociażby i dziś. To moje ostatnie słowo. W takim zgorzeleniu nie mogę żyć dłużej.

Przed Czajkowską przesunął się obraz kłopotów i przykrości poszukiwania nowej służącej w czasie tak gorącym dla gospodyni. Postanowiła ująć rozgniewaną Kasię łagodnością, ażeby zatrzymać ją tylko przez święta.

— Moja Kasiu, żyliśmy w zgodzie tyle miesięcy, skarżyć się na nas nie może Kasia, skąd ten nagły gniew i jakieś pretensje do nas? Czyż Kasia nie rozumie, ile przykrości sprawi mi to nagłe porzucenie i to przed samymi świętami?

Kasię opuściła pasja, cokolwiek ułagodziła ją łagodność pani, ale pozostała w niej spora ilość gorczy i powiedziała z żalem:

— A pani myśli, że mi lekko porzucić służbę? Ale jak nie można, to nie można.

— Ale dlaczego? z jakiego powodu? Niechże Kasia będzie szczerą i powie mi prawdę, może to da się usunąć.

— Jak pani chce, to i powiem... Jeszcze nie nastąpiła na stałe u pani, a już mi Frania, ta co była poprzednio tutaj, mówiła, że u państwa jak u pogan, ale myślałam, że to złe języki, a dopiero teraz przejrzałam po świętej spowiedzi, w jaki dom

ja się dostałam. I panicz taki, ale to mężczyzna ale i panienka taka sama, a nawet pani.

— Cóż takiego? — spytała zaniepokojona Czajkowska, — co Kasia ma do zarzucenia pani, albo mnie?

— Nie uwidzi tu obrazka świętego, nie zachowuje się tu postów, do kościoła nikt nie zajrzy, nie posłucha nauk kapłańskich i to nawet w wielkim poście, przeznaczonym do pokuty za grzechy nasze, do prześlągnięcia Pana Boga.

— Ależ Kasiu, my tacy katolicy jak i Kasia, a niekoniecznie ten najlepszy, co klepie modlitwy i traci czas roboczy w kościele.

— Otóż to, ci najgorsi, co to udają katolików, a nie zachowują przykazań kościelnych. Otworzył mi oczy ojciec spowiednik i powiedział mi, że jeśli nie chcę zgubić duszy, powinnam unikać bezbożnego towarzystwa, a widzę ja tu gorsze rzeczy, tylko o nich nie chcę mówić.

Zrozumiała Czajkowska, że do sfanatyzowanej Kasi nie przemówią żadne argumenty, logiczne i rozumowe i po chwili powiedziała:

— Nie chcę Kasi narażać na grzech. My naszego postępowania w niczem nie zmienimy, a chce Kasia odejść, to dziś obliczę i wypłacę należność, chociaż według umowy i prawa, powinna Kasia na dwa tygodnie naprzód wypowiedzieć mi służbę.

Te słowa były taką wielką niespodzianką dla Kasi, która się przygotowała na scenę i kłótnię, że zdumiona obejrzała Czajkowską jak dziwo i nie mogła się wstrzymać od pytania:

— A co pani robi bez sługi? Kto posprząta, wyszoruje, wypierze?

— Jakoś sobie poradzę, — uśmiechnęła się, — ale nie chcę Kasi zmuszać, chociaż wiedząc, ile Kasia będzie miała roboty, umyśliłam dać prezent na Wielkanoc, — a widząc, że Kasia taje pod temi słowami, — dodała sentencyjnie: — dobra chrześcijanka i katoliczka czyni tylko dobrze swoim bliźnim.

— Prawdę pani mówi i niech będzie co chce, — a już zostanę przez święta, ażeby pani nie miała kłopotu.

— Bardzo dobrze, Kasiu... — a co będzie z praniem dzisiaj?

— Niech pani da, bo w Wielkim tygodniu nie będzie czasu. Tyle czasu z panią zbałamuciłam, kiedy ja wrócę! — ubierała się pośpiesznie, — a mięsa ile kupić?

— Nie trzeba, dziś piątek, będziemy pościli, — uśmiechnęła się.

— My możemy, ale panicz pracuje, musi zjeść, wezmę na befszytk.

— Dobrze, Kasiu.

W kilka dni dowiedziała się Czajkowska od Kasi, że w całej kamienicy mają za złe Irenie, iż chodzi do szpitala i nosi choremu łakocie. Uwiadomiła o tem Irenę, radząc jej, ażeby zaprzestała częstych odwiedzin Tomasza ze względu na plotkarskie języki.

— Ani myślę! — oburzyła się Irena, — jemu każda moja bytność sprawia przyjemność i ulgę. Dla głupich plotek nie porzucę chorego.

Swoją drogą zauważyła Irena nieprzyjazne i podejrzliwe spojrzenie stróżki, służących, nawet sąsiadów, a Maryewski który dotychczas kłaniał się jej z rozmyślną przesadą, teraz, przy spotkaniu ledwie uchylał kapelusza, uśmiechając się drwiąco.

Posłyszała też, idąc z ulicy Żabiej ku miastu, rozmyślnie głośno prowadzoną rozmowę dwóch panów i jednej pani:

— Dzisiejsza młodzież pada coraz niżej, straszne zepsucie! — jęknął jeden z panów.

— To wina przykładów. Zjechało do nas tyle śmiecia z Królestwa, co to wstydu nie mają, gonią za robotnikami, po szpitalach się włóczą...

— To wina wychowania, wina matki, — odezwiała się pani z oburzeniem.

Irena skorzystała z zatrzymania się tramwaju, wskoczyła błada z gniewu i udała się, jak to zamierzała, wprost do szpitala.

W kurytarzu czekał na nią Tomasz, któremu jako rekonwalescentowi pozwolono opuścić łóżko. Był to zaledwie cień dawnego Tomasza, sama skóra i kości, z twarzą przedwcześnie pomarszczoną, a brudna kapota szpitalna, brudniejsza koszula, robiły wrażenie wielkiej nędzy i upadku.

Urzuwając z daleka Irenę, z trudem zrobił kilka kroków, opierając się o ścianę, a gdy się zbliżyła, wzruszony całował jej rękę mówiąc:

— Sam anioł nie jest lepszy, — i brudną ręką odgarnął lepkie, długie włosy ze spoconego czoła.

Inni rekonwalescenci z widoczną zazdrością i gniewem wpatrywali się w Irenę, a jeden z nich odezwał się ze śmiechem do towarzysza, dość głośno, ażeby go posłyszała Irena:

— Hej, gdybym miał dziewczuchę, byłoby mi tak dobrze, jak temu Królewskowi.

— Nie każdy na głupią trafi, — odpowiedział mu towarzysz.

Irena pod wpływem rozmowy posłyszanej na ulicy i tych brutalnych słów dwóch chorych, odruchowo poczuła żal do Tomasza, jako do przyczyny doznanych przykrości. Silne dotychczas jej współczucie zostało lekko stłumione i patrzyła krytycznie na niego.

— Dlaczego nie umyjecie sobie rąk, Tomaszu?

— Bo to, proszę pani, obiad jemy palcami, a potem do cebryka docisnąć się trudno i wytrzeć rąk niema o co, bo jedna szmata dla wszystkich a brudniejsza od podłogi.

— Zawsze można sobie poradzić, — powiedziała niepewnym głosem, — przyniosę wam ręcznik.

— Dziękuję pani; a może i jaką chuścinkę do nosa...

— Czy dzisiaj wam lepiej?

— Niekoniecznie, przeziębilem się w nocy.

— Jakim sposobem?

— Ee! co tam gadać... musiałem wstać, a kurytarz zimny, przeciągi, i z dreszczami wróciłem do łóżka. To prawdziwa męka wyżyć tutaj. Żadnej opieki, żadnego porządku, z bydlęciami lepiej się obchodzić, — skarżył się rozgoryczony.

— No, tak źle nie jest, — pocieszała go Irena, — zawsze jest doktor, lekarstwa, siostra szarytka...

— Tak się widzi, — doktor dobry człowiek, ale nie poradzi sam jeden na tylu chorych. Dobrodziejka zachodzi, ale słucha, co jej prawią zauszniczy, sama nie wejrzy, a łaskawa tylko dla pochlebców, a najbardziej dla neofity.

— Jakiego neofity? — spytała zdziwiona.

Tomasz obejrzał się trwożnie i zniżył głos do szeptu:

— Bo to widzi pani, obok mnie, ale na czystem, z dwoma poduszkami, leży żyd. Ten prawi, że chce się nawrócić; dają mu też pieczone i warzone, codziennie dostaje cielecinę ze śliwkami. Uda się szelma i dobrze mu z tem.

— Skądże wiecie, że udaje? a może naprawdę nawróci się.

— Co też panienka gada! Toć słyszę jego marmotanie żydowskie, a na medaliki i krzyż patrzeć nie może i na noc chowa pod poduszkę, a tylko w dzień zawiesza sobie na wierzchu, na koszuli, ażeby wszyscy widzieli.

— A na sali nie umniejszyło się chorych? — zmieniła Irena temat rozmowy.

— Różnie bywa; jedni umierają, drudzy się wypisują, ale chorych nie braknie i pełna ich sala, a w nocy to taki zaduch i smród, że aż dusi. I straszno jest. Na taki gmach jedna lampka ledwie się ęmi... a ten charkocze, ten stęka, tamten bredzi, ów umiera... to mówię sprawiedliwie, prawdziwy czyścić, i co rana aż dziwię się, że jeszcze żyję.

— O, wam już znacznie lepiej. A kiedy się wypisujecie?

— A chociażby i dziś, ale pan doktor mówił, że zaraz choroba wróci, że muszę czekać, i gdybym tylko miał co jeść, a nie te obrzydliwości łojowate, i miał czem oddychać, za trzy dni wyszedłbym i nigdy nie spojrzał w tę stronę.

Oboje byli tak zaprzątnięci rozmową, że nie dostrzegli zbliżającej się szarytki, która przemówiła spokojnie i zimno:

— Nie można chorego niepokoić i rozdrażniać rozmową zbyt częstą, — spojrzała na twarz Tomasza z wypiekami podniecenia i rozkazała:

— Idź do sali, połóż się! a pani, — zwróciła się do Ireny, — opóźnia przez te odwiedziny powrót chorego do zdrowia, — poszła dalej.

Irena, upokorzona, nie śmiała podnieść oczu na świadków tej sceny, przeczuwając, że patrzą na nią z tryumfem i szybko opuściła szpital z żalem i gorczyką do świata i ludzi.

Dopiero na ulicy rozpromienionej słońcem wiosennem wróciła do równowagi i rozmyślając nad sposobem przyniesienia ulgi i pomocy choremu szła ku domowi.

— Jakąż to poważną kwestyę rozstrzyga pani? — przywitał ją doktor Lencki z uśmiechem.

Irena spojrzała na niego oczami jakby ze snu zbudzonemu i podała rękę:

— Dzień dobry panu.

— O, naprawdę była pani bardzo zajęta myślami. Czy spotkało panią co przykrego?

— Tak... dosyć... miałam niemiłe spotkania.

— Czy i ja do nich należę?

— Nie! Pana uważam za dobrego i szlachetnego człowieka, ale ci inni...

— Jeśli to pani sprawi ulgę, opowiedz mi pani, może znajdziemy jakie lekarstwo. Domyślam się, że